

Karolina Woszczewska

Wołanie przez ciszę, czyli krótka historia o życiu

Kultura i Wychowanie 4, 200-203

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wołanie przez ciszę, czyli krótka historia o życiu

II miejsce *ex aequo* w konkursie
im. Julka Cyperlinga
na Najlepszy Reportaż w Roku Akademickim
2011/2012

autorka: Karolina Woszczewska

*Boję się świata bez wartości, bez wrażliwości,
bez myślenia. Świata, w którym wszystko jest możliwe.
Ponieważ wówczas najbardziej możliwe jest zło.*

R. Kapuściński

Są takie mieszkania, które wymuszają ciszę i spokój. Po wejściu do nich nie można się śmiać, krzyżeć, skakać. Trzeba być, patrzeć szeroko otwartymi oczami i cierpieć. Ból jest w każdej ścianie, w regałach, w rozklekotanych tapczanach, pod wypadającymi oknami. Śmierdzi tam grzybem, moczem i zepsutym jedzeniem. Tynk odpada ze ścian i sypie się na głowy ludzi. Ludzi.

Karolina Woszczewska
uczennica II klasy Liceum Ogólnokształcącego
im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie.

Tak, właśnie. Są tam. Udają, że żyją dobrze, tylko biednie.

Idziesz ulicą (jest już dosyć ciemno) i nagle ni stąd, ni zowąd przelatuje ci przed nosem kamień. Co sobie myślisz? Ja na przykład nie myślałam, tylko zaczęłam rozglądać się dookoła. Zobaczyłam trzech chłopców, na oko 10–11 lat, jak tak sobie rzucają kamieniami w ludzi, ukryci za przystankiem. W zasadzie zabawa jak każda inna. Przecież nie musi być od razu mądra, ważne, żeby była śmieszna. Tylko, uprzejmie pytam, gdzie są rodzice? Bo akurat ja, mając 10 lat, musiałam iść spać po Wieczorynce i mowy nie było o wałęsaniu się po mieście o dziesiątej w nocy. Nie miałam pewności, jak dużo amunicji chłopcom zostało, więc skręciłam w boczną uliczkę i wybrałam dłuższą drogę do domu. Tylko jakoś nie mogłam o tym incydencie zapomnieć. No, ale co mogłam zrobić? Zadzwoić po policję? I co dalej? A może wydrzeć się na nich zza jakiejś bezpiecznej barykady i dostarczyć rozrywki? Zrobiłam trochę inaczej. Poszłam do ośrodka pomocy społecznej i usłyszałam od bardzo miłej pani, w odprasowanej na kancik, sztywnej, białej koszuli, że w zasadzie nie ma się czym przejmować. Trzeba było wezwać policję, żeby odstawiła małolatów do domu i po krzyku. Takich przypadków jest w zasadzie bardzo wiele, ale to takie tam szczeniackie wygłupy (Boże, widzisz i nie grzmisz!). Nie przejmować się jednak nie mogłam, no więc – co mogłam? Tego już się nie dowiedziałam.

Poznałam Marysię, kiedy miała 8 lat, tak jak ja. Przyjeżdżała do babci na wieś. Zawsze była smutna i podrapana, posiniaczona. Mówiła, że to tak zawsze, kiedy się bawi na podwórku, przed blokiem. A to spadnie z drzewa, a to się przewróci. Znalazłam ją po latach na Facebooku. Zaprosiłam do siebie, ale nie chciała przyjechać, no to wzięłam walizkę i trzy dni później byłam w jednym z tych mieszkań, w których z każdej ściany słychać nie-me wyznania.

Marysia ma oczy szare, przekrwione i widać, że jest niewyspana. Spod brudnych, podwiniętych dresów wystają poobijane nogi. Ma 17 lat i chorą dwuletnią córeczkę. Mała płacze zawinięta w koc, a jej mamy nie stać nawet na leki. Chce mnie tam i nie chce jednocześnie. Ale jestem. „Agatka ma na imię. Ładnie, nie?”, odzywa się w końcu. „Nie patrz tak! Nie patrz tak, kurwa! Nie wiem, jak ma ojciec na imię. I nie chcę wiedzieć!”. Agata śpi, a ciężki, poobijany, metalowy czajnik z brudną pokrywką gwizdże, zapluwając parą stare okna. Ledwo się trzymają w drewnianych framugach. Manię ojczym zgwałcił po raz pierwszy, kiedy miała 9 lat. „W domu był syf. Melina większa niż teraz. Matka piła i lała mnie jak popadnie, kiedy jej się kończyła wódka. Do domu różni przychodzili. Nie mogłam spać, bo krzyczeli i pili. Bałam się. Jak mnie jeden zgwałcił, to tylko ból czułam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak to się nazywa. A później... jakoś mi było wszystko jedno”. Oczy ma teraz duże, wściekłe, cały czas takie smutne. Paznokcie wbija w rękę, tak że aż poczerwieniała, ale mówi dalej: „Chciałam stamtąd uciec, byle gdzie. Nie miałam kasy ani bliskich, którzy by się mną zajęli. Znalazłam sobie faceta. Jeden. Drugi. Dziesiąty. Spałam z każdym, który mi obiecywał, że mnie stąd zabierze. Żaden nie zabrał. Jeden

tylko zrobił dzieciaka i uciekł. Chciałam usunąć, ale nie miałam za co, a jak się znalazł ktoś, kto chciał pomóc, to już było za późno. Matka klęła, że jestem dziwką, wyzywała, pluła. Miałam 15 lat, kiedy urodziłam córeczkę. Nawet będąc w ciąży, pracowałam dorywczo, więc jak już miałam brzuch, to ona się zmieniła. Trzeźwiła, malowała mieszkanie, wracała na noc. Urodziłam. Pomagała mi trochę, ale jak mała miała niecałe pół roku, znów się zaczęło. Alkohol, obcy mężczyźni i tak w kółko. Nie chciałam iść do żadnego domu samotnej matki, bo się bałam, że mi Agatkę zabrają. Sama byłam dzieckiem... Nie gap się tak! Ja nie miałam mamusi i tatusia, co każdej niedzieli pod rękę do kościółka! Ja w domu miałam burdel”. Kupiłam Mańce leki dla dziecka i pojechałam. Jakoś mi się później rzucały w oczy pobite dzieci i nastolatki w ciąży albo z wózkami. Wtedy zaczęłam ich chyba nawet szukać.

Znalazłam Damiana. Ma 18 lat i dużo pieniędzy. Dobrze się uczy, chce iść na prawo. Mieszka z rodzicami, ma niedowład prawej ręki i nie widzi na jedno oko. Poza tym jest przystojnym wysokim szatynem. Problemy z ręką i wzrokiem ma od roku. Wtedy to pobili go „koledzy” ze szkoły. „Hajs dawaj! To zdanie pamiętam chyba najlepiej”, mówi, przygryzając wargę. „Kilku chłopaków pobiegło za mną, zatrzymali mnie. Zawsze oddawałem im pieniądze, ale tego dnia nie miałem. Bałem się ich. Oni to widzieli i wykorzystywali. Było ich czterech, więc jak miałem się postawić? Rodzicom wstydzilem się powiedzieć. Licealista zastraszaony przez kilku drugorocznych... Głupio mi było i tyle”. Najpierw Damiana wyzywali, krzyczeli, ale im dłużej powtarzał, że naprawdę nie ma pieniędzy, że przyniesie im jutro, tym bardziej się złościł. Pobili go. Kilka razy dostał kastetem w twarz. Złamali mu nos.

Kopali po głowie, po brzuchu, po plecach. Zabrali mu buty i kurtkę. „Dobrze, że ktoś wtedy wyszedł z psem. Już było późno. Miałem dodatkowe zajęcia i wyszedłem ze szkoły koło siedemnastej, był koniec grudnia, ciemno. Jakiś pan zadzwonił po karetkę. Pamiętam, że mama miała strasznie spuchnięte oczy. Powiedziałem, że nie wiem, kto mi to zrobił. Bałem się jeszcze bardziej. Teraz też się boję”.

Boi się także Ola – ładna, szczupła blondyneczka z długimi nogami, dużymi oczami, małym zadartym noskiem, na który od słońca wypełzają piegi. Od kilku miesięcy nie wychodzi z domu sama. Sukienki pocięła, golfy zakłada nawet kiedy jest ciepło. We wrześniu dwudziestolatkę zgwałciła grupka chłopców w podobnym wieku. Teraz już tam nie mieszka, rodzice zabrali ją najdalej, jak mogli. „Ja nie byłam bogata! Ja nie byłam piękna! Ja tylko nie piłam, nie paliłam, nie ćpałam i uczyłam się trochę. Któregoś dnia poszłam wyrzucić śmieci, rodzice myśleli, że zwyczajnie zagadałam się z jakąś koleżanką. Za śmietnikami siedziało kilku chłopaków z piwami, gwizdali za mną, szłam szybciej, poczułam odór alkoholu, szarpnięcie...” – Ola dławi się własnymi łzami, ale chce mówić. Musi mówić, bo ją to od wewnątrz zabija. Łyk herbaty z wiśniówką. Opowiada dalej: „Zaciągnęli mnie za blok, dwóch trzymało mi ręce, jeden po prostu poszarpał bluzkę, miałam na sobie spódnice. Kiedy oni... Kiedy to... Ja nie krzyczałam. Ja wyłam i charczałam jak zarzynane zwierzę. Szarpałam się, kopałam w ziemię, później ból... raz, drugi, trzeci... Oni zabrali pełne butelki, zapalili i poszli spacerkiem, śmiejąc się na cały głos. Pozbierałam szmaty, które zostały z ubrań.” Wyciąga papierosa (od tego dnia zaczęła palić), ręce jej trzęsą, wyciera łzy. „Pozbierałam to i doczołgałam się do mieszkania. Zamknęłam się w łazience na kilka godzin.

Rodzice tłukli w drzwi i prosili, żebym wyszła, a ja chciałam zedrzeć paznokciami własną skórę”. Olka wypija duszkiem resztę herbaty z delikatnej filiżanki w kwiaty i szepce, że marzy o tym, aby ci mężczyźni zdychali w więzieniu. „Wyjdź. Mam już dosyć. Idź sobie. Powiedziałam ci wszystko”. Wzięłam torebkę, wahałam się, stojąc na progu, ale ona mnie stamtąd wypchnęła. Później słyszałam zgrzyt zamka i płacz. Nic więcej, tylko ten przeraźliwy płacz. Po tej rozmowie poszłam do MOPS-u, tam pracuje moja ciotka. Nie lubi, kiedy przychodzę, ale liczyłam, że pomoże załatwić Oli jakiegoś dobrego psychologa. Z ośrodka wyszłam z adresem, którego długo bałam się najbardziej.

Duży, ładny dom za Lublinem z ogrodem i altanką zupełnie nie pasował do wizerunku Jacka. „Przypakowany dresik” – tak sam o sobie mówi. Ogolona głowa, srebrny łańcuch, sygnet na palcu. Jest po odsiadce w więzieniu i poprawczaku. Za pobicia i rozboje. „Tego starego dziada tośmy złali, bo się czepiał, że śmiecimy i klniemy. Nie chce mieć problemów, niech się ch*** nie wtrąca – tak wtedy myślałem”. Jacek, choć jest już dorosłym mężczyzną, wciąż wspomina dotkliwy brak rodziców. Do domu wracali tylko na noc, a za ciągle przesiadywanie w pracy przepraszali coraz to nowymi, droższymi zabawkami. „Starych nie było w domu prawie nigdy, to sobie znalazłem kolegów. Może nieodpowiednich, ale wtedy nie wiedziałem. Imponowali mi. Pobiliśmy starszego mężczyznę za to, że ośmielił się zwrócić nam uwagę. Wtedy był z nami brat kumpla – Mata. Ze cztery lata miał. Mówiliśmy mu, «no, kopnij go, dajesz, kopnij», mały się śmiał i nas słuchał. Niedaleko domu Zera był taki warzywniak mały. Poszliśmy tam z kijami baseballowymi, postraszyliśmy ekspedientkę, zabraliśmy kasę. Nie żeby nam brakowało, tylko

tak – dla adrenaliny. «Psy» nas zwinęły, kiedy po kilku browarach powybijaliśmy szyby u takiej jednej dziewczyny, bo rzuciła jednego z nas. I wtedy się zaczęło. Matka powiedziała, że jej wstyd, że ją zawiodłem, taki babski trajkot. Ojciec wynajął adwokata. Dostałem 6 lat odsiadki w zawiasach. Wyszedłem przedterminowo, za sprawowanie. Zmieniłem się teraz, nawet bardzo, tylko trochę za późno. Teraz nie mogę znaleźć pracy, bo nie dość, że po wyroku, to jeszcze nie mam matury. Wyrok ogłoszono w dniu moich osiemnastych urodzin. Tam, w więzieniu, też dostałem. Byłem nowy, nie radziłem sobie”. Jacek opowiada mi to bez żadnych emocji, popija sok. Było, minęło – tak chce na to patrzeć. Uważa, że czasem lepiej zapomnieć. Powiedział mi, że może gdyby miał jakieś autorytety, że gdyby rodzice pokazali mu, co to jest moralność, szacunek... On znał tylko strach i wiedział, że lepiej go budzić w innych,

niż odczuwać. Wyrzuty sumienia miał dopiero po dwóch latach odsiadki wyroku.

Kilka dni po spotkaniu z Jackiem w ręce wpadł mi zbiór najciekawszych sentencji. Otworzyłam go akurat na słowach Platona: „Największe zło to tolerować krzywdę”. A więc co możemy zrobić, aby jej nie tolerować? Teoretycznie bardzo dużo, ale jak przychodzi co do czego, to kończy się zwykle na słowach. A przecież są ośrodki, fundacje, placówki, które za cel postawiły sobie walkę z krzywdą ludzi. Skierować do nich może nawet policja albo pogotowie. Działają tzw. telefony zaufania. Tylko nam zawsze jakoś trudno zadziałać, bo w zasadzie lepiej nie wiedzieć albo chociaż udawać, że się nie wie i zwyczajnie nie zawracać sobie głowy innymi. W końcu tyle mamy własnych problemów... ■



Juliusz Cyperling, patron konkursu, był dziennikarzem „Dziennika Łódzkiego”, fotoreporterem, recenzentem teatralnym, założycielem i pomysłodawcą „Gazety Edukacyjnej” (obecnie portal gazeta.edu.pl) oraz współzałożycielem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi. Zmarł w 2006 r.

Był bardzo dobrym człowiekiem. Był osobą, która z pokorą przyglądała się temu, co ją otaczało. Potrafił znaleźć zrozumienie dla każdej sytuacji, która była trudna. Pięknie obserwował – umiał dostrzegać i wielkie sprawy, i malutkie, które też w naszym życiu znaczą. Wszystko to opisywał, fotografował, ukazując sens bycia, istnienia, oglądania rzeczy pięknych i mniej pięknych – po prostu naszego życia.

Małgorzata Cyperling